

EFEKT BRUMMA

ROZDZIAŁ 1. PISZĘ LIST

Właściwie w cuda nie wierzę. Oduczono mnie jeszcze w szkole. Wierzę w naukę i w świetlaną przyszłość. A jednak czasem cuda się jeszcze zdarzają i trzeba się z nimi liczyć.

Mówiąc krótko, pewnego razu znalazłem na swoim biurku list od szefa. Szef lubi ze mną korespondować. To znaczy pisze wyłącznie szef, a ja czytam. Szef często przesiaduje w laboratorium do późnych godzin i wtedy przychodzą mu do głowy różne myśli. Rano je studiuje. „Pietia! Zastanów się, czy nie należałoby wyjaśnić anomalii w obszarze podczerwieni międzystrefowym rozproszeniem.” Albo coś w tym rodzaju.

Przeważnie nie reaguję zbyt pośpiesznie na pomysły szefa. Nigdy nie wiadomo, a nuż to zwyczajne zawracanie głowy? Szef często sam tak mówi. A raczej krzyczy, wbiegając do laboratorium: „Wszystko, co wczoraj wymyśliłem — zawracanie rzeki kijem”. Po co zawracać kijem rzekę — pojęcia nie mam. Normalne zawracanie głowy, i to nie najgorsze.

Ale tym razem było coś nowego. Na biurku leżała koperta zaadresowana fioletowym atramentem. Zamaszyście napisany adres naszego instytutu, a zamiast nazwiska adresata widniało po prostu: „Najważniejszy naczelnik”. Ni mniej, ni więcej. Do listu spinaczem była przyczepiona karteczka z dyspozycjami:

„Pimenow. Zbadać sprawę.” Podpis rektora.

„Turczin. Sprawdzić, o co chodzi”. Podpis Pimenowa.

„Żołdadze. Odpowiedzieć w ciągu tygodnia”. Podpis Turczina.

„Barsow. Nic nie rozumiem. Mam co innego na głowie”. Podpis Żołdadze.

„P. Wierłuchin. Pietia, na miłość boską, zorientuj się w tym wszystkim i napisz odpowiedź”. Podpis szefa.

Wierłuchin — to ja. Niżej ode mnie w hierarchii służbowej naszego instytutu jest już tylko kosz na papiery. Dlatego nie napisałem kolejnej dyspozycji, tylko przeczytałem list. List mnie zainteresował.

Tym samym fioletowym charakterem pisma list informował, że jego autor odkrył prąd elektryczny w kutym żelazie. W nawiasie sprecyzowano „podkowa”. Wynalazca podgrzewał podkowę nad świeczką, co powodowało przepływ prądu, i to bardzo silnego, w obu kierunkach. Tym prądem autor listu ładował akumulator motocykla, a potem jeździł na nim pół roku. Co, jak się okazuje, potwierdza teorię Brumma. Autor prosił o powtórzenie eksperymentu i wydanie opinii, która jest niezbędna do otrzymania patentu.

Na dole był adres. Wieś Kogutki Górne. Obwód Jarosławsk. Wasilij Fomicz Smirny.

Jedno tylko pozostało dla mnie niejasne. Skąd w Kogutkach Górnych znają teorię Brumma. Ja, na przykład, nie miałem o niej pojęcia.

Wziąłem podręcznik. Teorii Brumma brak. Zajrzałem do encyklopedii fizyki. Na literę B. po Maxie Bornie znalazłem hasło: Hans Fryderyk Brumm, zmarły, jak się wyjaśniło, dwieście dwanaście lat temu. Coś tam wykoncypował w swojej klasztornej celi, ponieważ był mnichem i, zdaje się, nawet alchemikiem. Później to wszystko zostało oczywiście wyszydzone i na jego teorii postawiono krzyżyk. A Wasilij Fomicz zamierza ten krzyżyk unieważnić. O ile dobrze zrozumiałem.

Sprawa była nadzwyczaj prosta! Z miejsca usiadłem i napisałem: „Szanowny towarzyszu Smirny! Ponieważ tacy wybitni uczeni jak Maxwell, Hertz i inni odrzucili teorię Brumma jako nienaukową, nie możemy przyjąć pańskiej propozycji. Najwidoczniej w czasie doświadczeń musiał pan popełnić jakieś błędy”.

Jednym słowem „coś takiego nie istnieje, ponieważ w żadnym wypadku istnieć nie może”. Załatwiłem Smirnego w pięknym stylu, a przy okazji jeszcze raz przygwoździłem Brumma!

Następnie wypisałem pełny rejestr podpisów i tytułów naukowych z wymienieniem zajmowanych stanowisk. Wyglądało to imponująco. Rektor instytutu, członek korespondent. Prorektor, profesor, i tak dalej. A na dole skromniutko — młodszy pracownik naukowy Piotr Wierluchin.

Zaniósłem list maszynistce i usiadłem zadowolony z siebie i swojej działalności. Kiedy przyszedł szef, krótko zameldowałem mu o Brummie i szef się uśmiechnął. Nawiasem mówiąc on również słyszał o Brummie po raz pierwszy — poznałem to po jego oczach.

Gdyby wiedział, którym bokiem wyjdzie nam ten Brumm, toby się nie uśmiechał.

W tym momencie wszedł Lisocki. Lisockiego wszyscy traktują u nas poważnie. Lisocki bez przerwy pisze doktorat. Kiedy jeszcze byłem studentem, już wtedy słyszałem, że Lisocki pisze. Kiedy wreszcie napisze, będzie to coś wstrząsającego. Coś w rodzaju „Wojny i pokoju” Lwa Tołstoja. Na posiedzeniach Lisocki zawsze powołuje się na trudności. Za to go właśnie szanują. Wszyscy są zachwyceni, że człowiek już dziesięć lat przetrwał trudności i że mu się do tej pory nie znudziło.

Lisocki ma fenomenalny węch. Jeśli w dowolnym laboratorium obchodzą czyjeś urodziny, zawsze tam wpada i prosi o tablice matematyczne. Po co mu te tablice, nie wiadomo. Oczywiście trzeba go poczęstować, inaczej nie wypada. Lisocki pije wytrawne wino oraz kawę, zjada ciastko, potem zabiera tablice, przeprasza, wychodzi. Tym razem, jestem pewien, też nieprzypadkowo zajrzał.

— Co nowego w kwestii podczerwieni? — zapytał Lisocki. Jest mu dokładnie wszystko jedno, czy chodzi o podczerwień, czy o ultrafiolet, wiem o tym dobrze. Ale jakoś musi zacząć.

No i szef powiedział o Brummie. Dla hecy oczywiście. Lisocki również się pośmiał, chwilę porozmawiał o telepatii, a wychodząc wziął encyklopedię fizyki. Powiedział, że chce odświeżyć w pamięci pierwszą zasadę termodynamiki.

Laborantka Nela przyniosła mi list przepisany na firmowym blankiecie, szef i ja złożyliśmy podpisy i przesłaliśmy do Kogutków Górnych w charakterze oficjalnego dokumentu.

List odszedł, zdążyliśmy o nim zapomnieć. Wszystko szło swoją koleją. Wrócił z wykładu Sasza Rybakow i przyssał się do swojego oscylografu. Gena, drugi asystent, zarządził dla swoich studentów kolokwium z fizyki ciota stałego, a ja, żeby było ciekawiej, podrzucałem studentom ściągaczki. Gena siedział bardzo zadowolony, że grupa tak dobrze opanowała materiał. Bez przerwy kiwał głową i myślę, że go rozboleła.

Pod koniec dnia pracy Brumm znowu wypłynął na powierzchnię, nie wiadomo, z jakiej okazji. Okazało się, że Sasza Rybakow słyszał o efekcie Brumma. Zresztą Sasza słyszał o wszystkim, tak że nie ma się czemu dziwić. Na moment oderwał się od oscylografu, przetaił okulary i powiedział:

— Jeszcze się przez niego napłaczesz. To bardzo chytra teoria.

— Też coś — powiedziałem. — Ta teoria dawno leży w grobie.

Sasza chrząknął i popatrzył bez okularów gdzieś w dal. Najwidoczniej w osiemnasty wiek, na miasto Kolonię, w którym żył kiedyś Hans Fryderyk Brumm.

ROZDZIAŁ 2. PRZEPROWADZAM EKSPERYMENT

Po trzech tygodniach historia z Brummem weszła w nową fazę. Szef przyszedł do pracy ponury i długo przekładał na stole papierki. Pomyślałem nawet, że znowu nie przyjęli go do spółdzielni mieszkaniowej. Okazało się, że nie o to chodzi.

— A więc tak, Piotrze Nikołajewiczu — powiedział szef. To spodobało mi się jeszcze mniej. Zwykle nie zwraca się do mnie tak oficjalnie.

Szef wyjął z aktówki kartonową teczkę, a z teczki papiery. Od razu zauważyłem na samym wierzchu list ze znajomym fioletowym charakterem pisma, i koperta była identyczna „Powinszowania z okazji ósmego marca!” A na świecie, jeśli już o to chodzi, mamy obecnie wrzesień, Tym razem do listu było przypięte piśmko z gazety rejonowej. Nie licząc dyspozycji rektora itp. Tyle, że dyspozycje były w tonie kategorycznym.

Szef w milczeniu położył to wszystko przed moim nosem i zapalił papierosa. Czułem, jak z wolna się nagrzewa. Niczym kocioł parowy. Następnie szef podskoczył na krześle i rąbnął pięścią w stół, wskutek czego fioletowe litery skoczyły gdzieś w bok.

— Przerazające! — krzyknął szef. — Ciemnogród! Nie mam życzenia zajmować się alchemią!

— Nie szkodzi, szefie — powiedziałem — wszystko w życiu się przydaje. Niech pan się tylko nie denerwuje, na pewno to załatwimy.

— Bardzo cię proszę, Pietia — poprosił szef. — Odpisz mu jakoś łagodnie. Coś mu obiecaj.

— Na przykład pośmiertną sławę — zaproponowałem.

— W żadnym wypadku! — przeraził się szef. — Najlepiej jakiś przyrząd. Powiedzmy amperomierz... O Boże! — szef nerwowo zaczął biegać po laboratorium. Zawsze wszystko bierze zbyt do serca.

W piśmie z gazety pouczono nas, że z niedopuszczalnym lekceważeniem potraktowaliśmy list człowieka pracy. Okazuje się, że sami powinniśmy empirycznie sprawdzić efekt Brumma, zamiast zasłaniać się jakimś tam Maxwellem.

— Brumm-brumm-brumm... — zanucił szef na melodię marsza.

— On tu cytuje Engelsa — powiedziałem zaznajomiwszy się z listem Wasilija Fomicza do redakcji gazety rejonowej.

— Brumm-brumm-brumm! — jeszcze głośniej zanucił szef. Odłożyłem na później swoje doświadczenia i zająłem się eksperymentem Wasilija Fomicza. Przede wszystkim należało zdobyć świeczkę. W katedrze świeczki nie było, ponieważ wyszły z użycia. Gen poradził mi sklep, a Sasza cerkiew. Z instytutu jest bliżej do cerkwi niż do sklepu, więc wybrałem cerkiew.

Cerkiew jest czynna w bardzo dziwnych godzinach. Czasami jest zamknięta przez cały dzień, a czasem otwarta nawet w nocy. Miałem szczęście, cerkiew właśnie była czynna. Przed wejściem jakaś staruszka handlowała świeczkami. Świeczki były cienkie jak makaron i piekielnie drogie. Kupiłem pięć sztuk i staruszka przeżegnała mnie znakiem krzyża.

Z podkową sprawa wyglądała znacznie gorzej. Po prostu nie wyobrażałem sobie, gdzie w mieście można dostać podkową. Zadzwoiłem do informacji miejskiej, ale mi naubliżali za rzekome chuligaństwo. Wobec tego zamówiłem podkową w warsztacie mechanicznym. Majster Fiedia, specjalista od wydmuchiwania szklanych naczyń, narysował mi z pamięci szkic podkowy. Fiedia pochodzi ze wsi. Zrobiłem techniczny rysunek, według wszelkich zasad, w trzech rzutach i w przekroju też. Jak trzeba. Wypisałem zlecenie i zacząłem czekać.

Trzy dni biegałem do warsztatu, żeby dopilnować realizacji zamówienia. Wreszcie podkowa została wykonana.

— Ten twój koń ma tylko jedną nogę, czy co? — zapytał ślusarz.

— Reszta to protezy — wyjaśniłem.

— Ogier, czy kobyła?

— Raczej ogier.

— Biedne zwierzę — powiedział ślusarz.

Przyniosłem podkową na katedrę i przystąpiłem do eksperymentu. Pokój był pełen ludzi. Szef, żeby się nie denerwować, poszedł do biblioteki. Czułem, że nie jest zupełnie pewien, jaki będzie wynik. Lisocki chodził i rzucał ironiczne uwagi na temat podkowy. Ale schemat przestudiował nader uważnie. Umocowałem podkową na statywie, przylutowałem do niej

przewody, podłączyłem amperomierz i zapaliłem świeczkę. Ze świecą w rękę przypominałem pana młodego. Na miejscu panny młodej stał Lisocki.

— Należy odśpiewać marsza weselnego — zaproponował Sasza.

Przysunąłem płomień świecy do podkowy i zacząłem ją nagrzewać. Strzałka aparatu drgnęła i przesunęła się o jedną podziałkę.

— Prąd termoelektryczny — skonstruował Lisocki.

Sam wiedziałem. Żadnym Brummem tu nawet nie pachniało. Zużyłem trzy świece nagrzewając podkowę w różnych miejscach. Podkowa straciła połysk, zakopciła się i wyglądała żałośnie. Jak mocno zużyta podkowa.

— Figa z makiem — stwierdził Sasza Rybakow i powrócił do swojej aparatury.

— Czego należało oczekiwać — rozległ się głos szefa, który wszedł i nie zauważony przez nikogo obserwował przebieg doświadczenia.

— Dajcie lutownicę — zażądał Lisocki.

— Nie przeszkadzaj w eksperymencie — powiedział szef.

— Dajcie lutownicę! — krzyknął Lisocki.

Dostał lutownicę i w ciągu dziesięciu sekund rozżarzył podkowę do białości. Przewody odpadły, a rezultat nie uległ zmianie.

— Podkowa, jest niewłaściwa — oświadczył Lisocki. — Ersatz, a nie podkowa. Potrzebna jest prawdziwa, prosto od konia. Z kopyta, że tak powiem.

— Dostyc tego! — powiedział szef. — Pietia, napisz uprzejmy list. Załącz schemat doświadczenia. Obiecuj mu amperomierz. Nie zapomnij zakończyć: „pozostajemy z szacunkiem...” To zbrodnia! Zmarnować tydzień czasu na jakiegoś Brumma! A jeżeli ten Fomicz jutro oświadczy, że ziemia ma kształt obwarzanka? To też będziemy sprawdzać doświadczalnie? Tak?

— Poczekajcie — zagadkowo powiedział Sasza Rybakow. — To jeszcze małe piwo.

Lisocki wybrał podkowę i zabrał ją do swojego laboratorium. Powiedział, że na szczęście.

Znowu napisałem list do Kogutków Górnych. Do Wasilija Fomicza zwracałem się per „kolego”, zużyłem ogromną ilość terminów naukowych, całość uzasadniłem teoretycznie przy pomocy wielu skomplikowanych wzorów. Wypisałem nawet równanie Schrödingera, chociaż nie miało ono nic do rzeczy. Po to, żeby Fomicz dłużej siedział nad tym listem. Przeczynałem już, że walka będzie długa. Szef przeczynał to również.

— Pietia, przestuduj dokładnie tego Brumma — powiedział. — Żeby w razie czego nikt nas nie zahaczył.

Następnego dnia poszedłem do działu starych rękopisów biblioteki publicznej i wypożyczyłem oryginał. Brumm pisał po łacinie. Z tym jeszcze sobie poradziłem. Ale podstawy jego teorii były całkowicie mistyczne. Na przykład twierdził, i to zupełnie poważnie, że prąd elektryczny jest jedną z form istnienia szatana, i że święty ogień zmusza szatana do biegania wzdłuż przewodu i krzesania iskier. W jaki sposób szatan może ładować akumulatory, Brumm nie pisał.

I tak dalej.

Zdołałem przestudować dopiero jeden traktat z czternastu, gdy Wasilij Fomicz zdążył wykonać następny ruch.

ROZDZIAŁ 3. WYRUSZAM W PODRÓŻ

Tym razem Smirny zmobilizował opinię publiczną. Opinię publiczną można mobilizować w różny sposób. Wasilij Fomicz wybrał drogę zbiorowej petycji. Nie mam pojęcia, skąd nabierał w Kogutkach Górnych tyle ludzi. Może pojechał do rejonu. Tak czy inaczej, pięćdziesiąt osób stwierdziło pod przysięgą, że towarzysz Smirny motocykl z przyczepą

eksploatował przez sześć miesięcy i to dość intensywnie. A akumulator ładował od podkowy. Wszyscy widzieli. Skąd brał podkowę, też było napisane. Brał ją mianowicie z kuźni.

— Sam widzisz, nie z cerkwi, tylko z kuźni — powiedział Rybakow.

— Przecież ja z cerkwi przyniosłem świecę, a nie podkowę — powiedziałem.

— Wszystko jedno — melancholijnie stwierdził Sasza. Moim zdaniem Rybakow postawi sobie za cel doprowadzenie mnie do stanu szefa. Ale to mu się nie uda!

Kiedy czytałem list, szef patrzył na mnie z żałością. W jego mózgu kiełkowała myśl. Zaczął z daleka.

— Jesteś jeszcze młody, Pietia — powiedział łagodnie. — Masz mocne nerwy. Jedź do tych Kogutków. Bo inaczej Fomicz sam przyjedzie na swoim motocyklu. Wtedy nie ręczę za siebie. A przecież mam żonę i dzieci.

Poszedłem załatwiać delegację. Kierownictwo instytutu podpisało nie patrząc, a księgowość wyraziła zaniepokojenie.

— A gdzie leżą te Kogutki–Ciagutki? — zapytał główny księgowy. — I po co ty tam właściwie jedziesz? Przyznaj się — na grzyby?

Cierpliwie wytłumaczyłem, że w Ciagutkach Górnych odbędzie się międzynarodowe sympozjum. To jest, tfu, nie w Ciagutkach, a w Kogutkach. Porządek obrad: aparaty do dojenia krów na tranzystorach, zbieranie jajek przy pomocy elektromagnesu i stosowanie podkowy jako generatora. O podkowach powiedziałem prawdę.

— A zboża tam jeszcze nie sieją na tranzystorach? — zażartował główny księgowy.

— Zaplanowano na następną pięciolatkę — zażartowałem w odpowiedzi.

— Jedź! — powiedział główny księgowy. — Cudzoziemcy będą?

— Trzy autokary — powiedziałem.

Główny księgowy był usatysfakcjonowany. Otrzymałem zaliczkę i poszedłem zbierać informacje, w jaki mianowicie sposób mam dotrzeć do wsi Kogutki. Okazało się, że najporęczniej jechać tam konno. Samoloty do Kogutków nie latały, pociągi nie chodziły, statki również. Poważnie zaniepokoiłem się o cudzoziemców. Jak oni tam dojadą?

Wreszcie wszystko dokładnie wyjaśnił mi jakiś staruszek na dworcu. Trzeba jechać pociągiem do miasta rejonowego, a potem autobusem. Jeśli się wepchniesz, powiedział staruszek. A następnie statkiem po jakiejś tam rzece. Jeśli będzie kursował, powiedział staruszek.

— A jeśli nie będzie? — zapytałem.

— To na piechotę — powiedział staruszek. — To niedaleko. Ze dwadzieścia pięć wiorst.

Podziękowałem staruszkowi za informację i poszedłem kupować gumki. Oraz waciak.

Na katedrze mój wyjazd narobił mnóstwo hałasu. Posypały się zamówienia na suszone grzyby. A Sasza Rybakow zaproponował mi wędkę do łowienia pod lodem.

— Przecież lodu jeszcze nie ma — powiedziałem.

— Kto wie — zagadkowo wypowiedział się Sasza. — Eksperymenty mogą się przeciągnąć.

Przybiegł majster Fiedia z paczką. Poprosił, żebym ją po drodze podrzucił na wieś jego siostrzeńców. W paczce były suszone owoce i płyta Muslima Magomajewa. Przesłuchałem majstra Fiedię na okoliczność miejsca urodzenia.

— Jestem z Tulskiej guberni — powiedział majster Fiedia.

— Słuchaj, czy ty znasz geografie? — zapytałem.

— Nie znam — odparł majster Fiedia z dumą. — Trochę zapomniałem... A co, nie będzie ci po drodze?

Specjalnie pobiegłem po mapę i pokazałem majstrowi Fiedi, gdzie leżą Kogutki Górne.

— Coś takiego! — zmartwił się majster Fiedia. — Zresztą wszystko jedno. Oddaj komukolwiek. Tam też na pewno słyszeli o Magomajewie.

Mój bagaż naukowy składał się z konspektu traktatu Brumma i pirometru, który zabrałem dla nadania sobie powagi. Pirometr to taki przyrząd, którym można mierzyć wysokie temperatury. Jest dosyć portatywny.

Potem wysłałem depezę do Fomicza. „Delegujemy przedstawiciela komisji sprawdzenia efektu Brumma przygotować aparaturę”.

Nikt nie przyszedł na dworzec, żeby mnie odprowadzić. Nawet żona. Pociąg odchodził o trzeciej w nocy. Bardzo wygodny pociąg dla uciekających potajemnie i na zawsze. Zrozumiałem, dlaczego odjazd wyznaczono o tak późnej godzinie. Albo o tak wczesnej. Rzecz w tym, że pociąg w najmniejszym stopniu nie przypominał „Czerwonej Strzały”.

ROZDZIAŁ 4. JADE

Zstąpiłem na plac przy dworcu, jak Kolumb na brzeg Ameryki. Miasteczko było niskopiętrowe. Po ulicach laziły kury z kurczętami. Kiedy ni z tego, ni z owego nadjeżdżał samochód, kury biegły długo przed maską nie wiedząc, gdzie uciec. Potem wskakiwały do rowu. Stwierdziłem, że autobus będzie za trzy godziny, i poszedłem zwiedzać okolicę.

Dotarłem do jakiejś rzeki. Rzeka była dosyć duża. Na drewnianej przystani stał dziadek z brodą i w czapce. Na pewno przewoźnik. Albo latarnik.

— Co to za rzeka, ojczy? — zapytałem.

— Wołga, matko — powiedział dziadek z wyrzutem.

— Nie poznałem — wymamrotałem czerwony ze wstydu.

— Długo siedziałeś? — zapytał dziadek patrząc na mój waciak.

— Gdzie siedziałem? — zdziwiłem się.

— Wiadomo gdzie — powiedział dziadek mrużąc oczy.

— Trzy lata — powiedziałem, żeby mu nie zrobić przykrości.

— A za co?

— Utopiłem kolchozowy traktor.

— Zdarza się — powiedział dziadek. — A wyciągnęli przynajmniej traktor?

— Nie — powiedziałem. — Tam jest bardzo głęboko. To było nad Morzem Czarnym.

— A teraz dokąd się wybierasz? — zapytał skrupulatny dziadek.

— Do Kogutków Górnych.

— Pokłoń się ode mnie Waśce Smirnemu. Powiedz, znaczy, że Timofiej mu się kłania.

Okazuje się, że Fomicz był znaną osobistością. Upewniłem się w tym, kiedy przechodziłem koło komitetu wykonawczego. Wisiała tam tablica ze zdjęciami i w prawym górnym rogu znajdowała się fotografia towarzysza Smirnego. Było tam napisane, że jest on przodującym mechanizatorem i racjonalizatorem. No, to mnie nie zdziwiło.

Po przeciwnej stronie na budynku Pałacu Kultury również wisiała tablica. Tyle że odmiennie treści: „Ci którzy są hańbą naszego rejonu”. W tym samym górnym prawym rogu znowu zobaczyłem portret Fomicza. Napis głosił, że towarzysz Smirny zajmuje się konstruowaniem aparatów do pędzenia bimbru. Jak widać, tablice wywieszały różne organizacje, i niekiedy niezgodnie między sobą ich treść. Fomicz na fotografiach wyglądał bardzo przyzwoicie. Tak na oko miał około pięćdziesięciu lat. Jego fryzura przypominała niewielką plantację włosów.

Zaprzagnąłem zobaczyć tak wielostronnego człowieka i pośpieszyłem na autobus.

Staruszek w Leningradzie, który uprzedził mnie o tutejszych obyczajach, dobrze znał miejscowe warunki. Nikt nie jechał ot tak sobie, bez niczego. Wszyscy coś wzięli. Opony do motocykla, pralkę, klatkę z kanarkiem, dwa telewizory i gumowego węża do polewania ogrodu. Nie licząc mojego pirometru.

Autobus podjechał na przystanek. Kierowca wysunął głowę przez okno i krzyknął:

— Żebyście mi wozu nie przewrócili!

Ale nikt go nie słuchał. Dwaj chłopcy z pralką gotową do boju z ogromnym przyspieszeniem popędzili w stronę autobusu. Po drodze zaczęli o gumowego węża i w rezultacie nie trafili w drzwi, chybili. W boku autobusu pojawiło się wklęsnięcie.

— Zaraz wyjdę — obiecał kierowca.

Wszyscy w milczeniu odpychali jeden drugiego rękami. Przypominało to pływanie w zagęszczonej glicerynie. Przysunąłem do piersi pirometr i napierałem nim na worek, który dźwigała na plecach jakaś baba.

— Ej, ty! Ostrożnie! Tam jest serwis! — wrzasnęła baba. I od razu wszyscy zaczęli krzyżeć, co kto ma w worku. Nie wiadomo dlaczego absolutnie wszystkie przedmioty były kruche i łatwo się tłukące.

— Ostrożnie! — zaryczałem i ja. — Pirometr jest odbezpieczony! Wybucho od uderzenia! — i potrząsnąłem nad głową piometrem.

Wokół mnie momentalnie powstała próżnia. Wszedłem do autobusu i usiadłem. Reszta pasażerów kontynuowała swoje wysiłki. Wreszcie kierowcy to zbrzydło, więc ruszył. Pralkę do tego momentu zdążyli wepchnąć tylko do połowy. A gumowego węża zaledwie niewielki fragment. Wąż rozwinął się i sunął za autobusem niby knut. Jeden z właścicieli pralki biegł obok drzwi i próbował przepchnąć się do środka. Ze zgrozy rozśpiewał się kanarek.

Ze czterdzieści kilometrów jeszcze trwały awantury, potem zapanował spokój. Na mój pirometr wszyscy patrzyli z szacunkiem i nasłuchiwali, czy przypadkiem nie tyka. Wreszcie wysiadłem przy jakimś moście.

Przy moście była przystań. Na przystani czekali na statek jacyś ludzie. Jak się dowiedziałem, czekali od wczoraj wieczór. Powszechna pewność, że statek jednak przyjdzie, napęliła mnie optymizmem.

Statek istotnie przyszedł. Tyle, że dopiero nazajutrz rano. Noc spędziliśmy przy ognisku. Dobrze, że wśród czekających byli turyści. Rozbili namioty i mieliśmy wspaniałą nocleg. Rano turyści nakarmili mnie konserwami.

Zapytałem, czy wśród oczekujących są mieszkańcy Kogutków.

— Jakich Kogutków? — zapytała dziewczyna z rowerem, która wczoraj przy ognisku śpiewała piosenkę ludową. — Tu jest dużo Kogutków. Kogutki Dolne, Kogutki Górne, Krzywe Kogutki i Jasne Kogutki.

Powiedziałem, że chodzi o Górne, i dodałem, że szukam Smirnego.

— Wujka Wasi! — ucieszyła się dziewczyna. Potem spojrzała na mnie podejrzliwie i zapytała, czy nie jestem z milicji. Powiedziałem, że nie jestem. Dziewczyna spojrzała jeszcze podejrzliwiej i zainteresowała się, czy nie przyjechałem po aparat?

— Wujek Wasia już ich nie robi. Przez te aparaty tylko od nauki go odrywają. Tacy to u nas ludzie bez pojęcia.

Jak widać, naukowe sukcesy Fomicza były tu dobrze znane. Dziewczyna oznajmiła, że Smirny z kineskopu telewizora skonstruował jakiś aparat. Naświetla nim wymiona krów kolchozowych. Udoje wzrosły niebywale.

Jednym słowem, przekonałem się, że intelektualne zainteresowania Fomicza są nadzwyczaj rozległe.

Dwie godziny nasz statek przepływał obok najróżniejszych Kogutków i innych skupisk ludności. Przyroda była dziewicza. Powietrze sterylnie czyste. Ludzie surowi, nawykli do przewycięzania trudności. Rolnicy, hodowcy, wiejska inteligencja.

Dawno temu istniało pojęcie „sojusz miasta i wsi”. Otóż ja osobiście ten sojusz właśnie realizowałem. Poproszono mnie, żebym dokładniej opowiedział o piometrze. Zapaliłem się do tematu i niedostrzegalnie przeszedłem do cząstek elementarnych. Potem opowiedziałem o laserze. Promieniowanie koherentne i tak dalej.

— A powiedz mi, synku, czy tym laserem można kosić trawę? — zapytała jakaś babuleńka.

— W zasadzie można — powiedziałem. — Ale nie ma sensu. Mniej więcej tak, jakby ktoś wbijał gwoździe aparatem fotograficznym.

Krótko mówiąc, zanim dopłynęliśmy do Kogutków Górnych, pasażerowie, jak przypuszczam, nabrali elementarnego pojęcia o fizyce. No, a ja za to wiele dowiedziałem się o siewie, orce, żniwach i innych takich rzeczach.

ROZDZIAŁ 5. POZNAJĘ FOMICZA

— A gdzie jest wieś? — zapytałem dziewczynę z rowerem, która ofiarowała się wskazać mi drogę.

— O tam — pokazała dłonią.

Na wzgórzu stało pięć domków. Absolutnie chaotycznie. Wzdłuż zbocza prowadziła ścieżka w dół rzeki. Szczekały psy. Piały koguty. Mówiąc krótko, nie wyglądało to na centrum światowej nauki.

— To jest dom wujka Wasi — machnęła ręką dziewczyna. Na kominie tego domu widniała jakaś konstrukcja z grubego drutu.

— Pułapka magnetyczna — wyjaśniła mi właścicielka roweru.

— Jasne — wymamrotałem. Jeżeli ten Fomicz otrzymuje w swoim piecu plazmę, to rzucam fizykę, postanowiłem.

Poszedłem do domku i zapukałem w okienko. Na pukanie zza firaneczki wyjrzała głowa. Od razu ją poznałem. Nieco gorsza niż na honorowej tablicy, ale za to z całą pewnością żywa. Wasilij Fomicz zrobił przerażone oczy i zamachał rękami.

— Przyszedłem z interesem! — krzyknąłem.

— A kysz! — głucho dobiegł zza szyby jego głos. — Nie ma aparatów!

— Przyjechałem w sprawie Brumma! — krzyknąłem.

— Bhumma? — rude brwi Fomicza uniosły się jak wlatujące ptaki. Znikł z okna i po chwili otworzył mi drzwi.

— A nie łżesz? — zapytał Fomicz. — Jeśli nie, to wchodź.

Fomicz był w sportowym dresie z dzianiny. W rękę trzymał ożóg. Na końcu ożoga była umocowana dwuwypukła soczewka. A więc nie był to już ożóg, tylko przyrząd optyczny.

Fomicz bardzo sympatycznie grasejował. Czasami w ogóle nie można było zrozumieć, o czym mówi. Jak sądzę, głównie ze względu na specyficzną terminologię naukową. Terminologia Fomicza różniła się od ogólnie przyjętej.

— Nie dają mi żyć ci aparatczycy — powiedział Fomicz. Pieniądzy od nich nie biorę. Żeby się tylko odczepili! Mówią, że tak to przynajmniej jakaś korzyść jest z tej mojej nauki. A ty skąd jesteś?

Wyjaśniłem. Fomicz był nie na żarty zdziwiony. Szczególnie tym, że nasza podkowa nie chciała dać prądu. Wprowadził mnie do chaty. Wyglądało tam podobnie jak w naszym laboratorium. Bardzo dużo kabli i żelastwa. Na stole stała lampa naftowa. Na szkiełku wisiała podkowa. Od podkowy prowadziły przewody do radioodbiornika. Fomicz zapalił lampą i włączył radio. Radio mówiło.

— Bezpośrednie przekształcenie. Przenośna prądnicą — wyjaśnił Fomicz.

W tym momencie zapukała listonoszka. Przyniosła Fomiczowi mój telegram. Gdybym wiedział, zabrałbym depeszę ze sobą. Żeby się poczta nie męczyła. Fomicz uważnie przestudiował tekst.

— Wydelegowali przedstawiciela — powiedział znacząco. — Też w sprawie Brumma.

— To właśnie ja jestem tym przedstawicielem — powiedziałem. — Skąd wicie o Brummie?

— Ta historia sięga korzeniami w przeszłość — literacko zaczął Fomicz. — Pracowałem przy rozbiórce domów. Pod nowe zabudowania, i kiedyś znalazłem na strychu traktat. Nic nie rozumiałem, ale to było nadzwyczaj ciekawe. Nadzwyczaj!

— Ciekawe! — zgodziłem się. — Rzadko spotyka się takie brednie.

— No, brednie, nie brednie, a ziarno prawdy czasem się trafia — obraził się Fomicz w imieniu Brumma. Chciał przez to powiedzieć, że udało mu się to ziarno wyłuskać.

— A szatan? — zapytałem.

— Nie szatan, tylko czort — poprawił mnie Fomicz. — Elektron, czort — to bez różnicy. Najważniejsze, żeby działało!

— No, to jeszcze sprawdzimy — zastrzegłem się.

— Ranek mądrzejszy od wieczora — powiedział Fomicz. Zaczęliśmy szykować się do snu. Przyszła skądś żona Fomicza, miła i pogodna. Fomicza nazywała Wasiutą, a fizykę traktowała z sympatią, jak domowego kota. Nakarmiono mnie z całego serca. Przed snem Fomicz dobrą chwilę poobserwował niebo przez teleskop robiąc jakieś notatki. Moim zdaniem Fomicz urodził się stanowczo za późno. Najbardziej pasowałby do renesansu.

W nocy przyśnił mi się Hans Fryderyk Brumm. Przyszedł na naszą katedrę w waciaku nałożonym na czarną togę. W rękę trzymał depezę „pilną”. Pokazałem mu podkowę i Brumm okropnie się śmiał.

— Ciekawe! Nadzwyczaj ciekawe! — krzyczał.

Potem Brumm przeszedł na łacinę i bardzo długo o czymś mówił. Z całego przemówienia zapamiętałem jedynie zdanie: „Quod licet lovi, non licet bovi”. To znaczy, że co wolno Jowiszowi, tego nie wolno bykowi. Kiedyś kolekcjonowałem takie powiedzenia. Tyle że nie było dla mnie jasne, kogo Brumm ma na myśli mówiąc o byku.

ROZDZIAŁ 6. EKSPERYMENTUJEMY RAZEM

Kiedy się obudziłem, Fomicza nie było. Przyszedł po pół godzinie z wiadrem, w które był wmontowany kineskop z siedemnastocalowym ekranem. Najwidoczniej Fomicz właśnie ukończył poranne naświetlanie krów.

Obudził się chyba bardzo wcześnie. Wskazywał na to stan pirometru. Pirometr był rozłożony na części składowe do ostatniej śrubki. Jego fragmenty leżały starannie ułożone na czystej szmatce. Fomicz miał dziecięcą metodę poznawania otaczającego świata. Ja również w dzieciństwie rozmontowywałem zabawki, żeby zobaczyć, co jest w środku.

— Pihometh będzie nam potrzebny? — zapytał Fomicz wskazując palcem na śrubki.

— Tak — powiedziałem. — Będzie.

— Zaraz zmontuję — powiedział Fomicz.

I rzeczywiście w ciągu niespełna piętnastu minut zmontował pirometr. Nie została ani jedna sprężynka. Przy okazji coś tam zmodernizował i w rezultacie zdaniem Fomicza pirometr mógł teraz służyć również jako mikroskop.

— Masz coś jeszcze? — zapytał z nadzieją w głosie.

— Nie — powiedziałem — następnym razem przywiozę więcej.

— Ech, żebym ja tak miał komorę Wilsona — marząco powiedział Fomicz. — Ja bym wtedy...

Jak wynikało z rozmowy, Fomicz był całkowicie pozbawiony próżności. Jego listy do instytucji naukowych wynikały z prostego powodu. Rodacy niezbyt szanowali działalność naukową Fomicza. Można nawet stwierdzić, że nie wierzyli w jego gwiazdę. Wobec tego Fomicz postanowił zdobyć patent, żeby umocnić swój autorytet, i żeby nie przeszkadzali mu w pracy naukowej.

— Mówią, żebym hemontował thaktohy! — skarżył się Fomicz.

Z trudem pojąłem, że chodzi o remont traktorów.

— A jeżeli mnie nie intehesuje hemont thaktohów? Teraz mnie plazma intehesuje.

Zjedliśmy śniadanie i przystąpiliśmy do eksperymentów.

Nagrzewaliśmy podkowę. Świeczką. Płomieniem lampy naftowej. Palcem. Płynął prąd o niebywałej sile. Radio grało. Moja maszynka do golenia goliła. Goliłem się przy pomocy podkowy! Jeśli opowiem o tym w katedrze — chyba mnie zabiją!

Hipnoza wykluczona. Czary również. Pozostawało jedno — uchylić kapelusza w obliczu faktów.

— A ty powiadasz — brednie! — radośnie wykrzykiwał Fomicz.

— Prawa fizyki są wszędzie jednakowe — twierdziłem. — Nie mogą być inne w Kogutkach niż w Leningradzie.

— Kto wie, kto wie! — płażał wokół podkowy Fomicz. — Tu właśnie mylisz się, kochany.

Jeszcze raz sprawdziłem schemat, zanotowałem dane, zmierzyłem temperaturę i poszedłem rozmyślać wśród pól. Pól, Bogu dzięki, było dosyć. Mogłem przemyśleć całą fizykę od pierwszej zasady Newtona do ostatnich odkryć Fomicza.

Niesłychane! Ukończyłem szkołę, instytut, przygotowuję doktorat. Wywalczyłem dla siebie maleńką cząstkę fizyki i nikt nie wie o niej więcej niż ja. Bardzo maleńką. Mniejsza już być nie może. A tymczasem Fomicz rozwija fizykę globalnie przy pomocy czystego entuzjazmu. O doktoracie nawet nie myśli. Po prostu jest ciekaw i koniec. Powstaje pytanie, kto z nas właściwie zajmuje się fizyką?

Ze wszystkiego wynikało, że fizyką zajmuje się Wasilij Fomicz. Ja zaś badam jakieś ziarenka prawdy, które nikogo ani ziębią, ani grzeją. Właściwości optyczne anizotropowych związków bizmutu. No dobrze, powiedzmy, że napiszę w końcu doktorat. A tymczasem Fomicz ładuje akumulator motocykla od podkowy. Radio gra. Maszynka do golenia goi. Tylko patrzeć, jak otrzyma plazmę w swoim piecu.

A jeśli to szarlatan? Przypomniałem sobie oczy Fomicza, kiedy krzątał się koło świeczki. Nie, Fomicz nie jest szarlatanem. Takiej wiary nie ma w oczach szarlatanów.

Niczego nie wymyśliłem i zrobiło mi się zimno wśród pól. Nadszedł wieczór. Chwyciły przymrozki. To się chyba tak nazywa w języku agrotechnicznym. Chwycił przymrozek... Kiedy przypomniałem sobie ten zwrot, zapragnąłem przenieść się na wieś. A co? Zostanę asystentem Fomicza. Zdobędziemy komorę Wilsona, zabierzemy się do cząsteczek elementarnych. Kupię sobie krowę... Motocykl...

I lekko mi się zrobiło na sercu i zarazem jakoś smętnie, ponieważ wiedziałem, że nigdy się nie przeniosę na wieś. Będę całe życie robił jakieś pomiary, pisał artykuły do „Fizyki ciała stałego”. A te artykuły oprócz szefa i mnie zrozumie jeszcze siedemnastu ludzi. Na całej kuli ziemskiej.

Rozstrojony wróciłem do Fomicza. Fomicz napoił mnie mlekiem prosto od krowy i na dobranoc porozmawialiśmy sobie o promieniowaniu kosmicznym i względności czasoprzestrzeni. Dawno już nie rozmawiałem na takie tematy ze świeżym człowiekiem. A Fomicz był zupełnie świeży. Ze dwa razy zapędził mnie w ślepą uliczkę. Okazuje się, że w czasoprzestrzeni jest jeszcze wiele nie rozwiązanych problemów.

— Wasiuta, śpij! — poprosiła z pieca żona Fomicza.

— Poczekaj. Spokój duszy mi odebrał ten Einstein. Jakże nie wpadłem na to wcześniej?

— Einstein po prostu wcześniej się urodził — uspokoiłem Fomicza.

— Chyba że tak — zgodził się Fomicz. — Ale i tak przykro. Jeszcze długo się kręcił, a potem zasnął. Patrzyłem w okno, widziałem zaorane pole zalane zielonkawą poświatą księżycy. Każdy, najmniejszy pagórek rzucał cień. Z mordą przy ziemi przebiegł polem pies. Zrozumiałem, że chcę do mamy. Albo do żony.

ROZDZIAŁ 7. JEDZIEMY Z POWROTEM

— Zbierajcie się — powiedziałem rano. — Pakujcie aparaturę. Jedziemy do Leningradu.

— Tylko mnie tam brakuje! — kategorycznie oświadczył Fomicz.

— Brakuje — powiedziałem.

— Dacie sobie radę beze mnie!

— Podarujemy wam oscylograf — obiecałem.

— Oscylograf? — Fomicz marząco przymrużył oczy. Nawet włoski na głowie mu zadrzały. — Nie, nie pojedę. Kto będzie krowy naświetlał? Przewodniczący mnie nie puści.

Poszedłem do przewodniczącego do sąsiedniej wsi, gdzie mieścił się zarząd kołchozu. Przewodniczącego wcale nie zdziwiła moja wizyta. Widocznie często odwiedzano go w sprawie Fomicza. Dziwne, że jeszcze zachował dla niego ciepłe uczucia.

— Złota głowa! — powiedział przewodniczący. — To raz. Nie pije. To dwa... Ale każdy może go wykorzystać, rozumiesz? Wiesz, ile on tych aparatów porozdawał? Ani grosza nie wziął. Nie potrafi odmówić. Zresztą, jak tu odmówić, kiedy przystawiają nóż do gardła!

Zrozumiałem, że z tym nożem to przenośnia.

— Czasem traci czas na głupstwa, to prawda. Wymyśli coś bez pożytku. Ale na przykład promiennik zrobił — tylko przyklasnąć. Ale znowu ta plazma — komu ona potrzebna?

Ze słów przewodniczącego wynikało, że złotą głową Fomicza czasem nawet wydzierzawiano. Sąsiednim kołchozom. Fomicz tamtym — pomysł racjonalizatorski, a tamci — pieniążki. Jednym słowem, jak u nas na katedrze umowy z zakładami przemysłowymi.

— Dobra, przekonałeś mnie! — powiedział przewodniczący, kiedy zrobiłem aluzję do nagrody Nobla. — Będzie nagroda — zbudujemy oborę.

— Za tę nagrodę można pawilon dla słoń zbudować — powiedziałem.

— A po co nam słonie? — nie rozumiał przewodniczący.

— Zamiast kogutów — powiedziałem. — Nauczycie je trąbić nad ranem.

Przewodniczący spojrział na mnie z zainteresowaniem. Zrozumiałem, że się potężnie wygłupiłem. Tak ze mną często bywa. Dlatego postanowiłem naprawić błąd.

— Tak w ogóle to słonie wykorzystuje się w Indiach jako siłę pociągową.

— Przecież cały nasz urodzaj pójdzie na paszę! — powiedział przewodniczący. — A ile kosztuje słoń?

Byłem niezadowolony, że zacząłem tę rozmowę o słońiach. Po prostu nie wiedziałem, jak się wykręcić.

— Słonie trudno dostać. Są tylko z importu — uspokoiłem przewodniczącego.

Przewodniczący od razu stracił zainteresowanie tematem i wypisał Fomiczowi jakieś dokumenty na wyjazd. Na koniec poprosił, żeby Fomicz nauczył pastuszka Kolkę, jak się naświetla krowy.

Dzień zszedł na przygotowaniach do podróży. Wzięliśmy aparaturę Fomicza, żeby zachować czystość eksperymentu.

Żona Fomicza dała nam suszonych grzybów i powiedziała:

— Trzymaj się tam, Wasiuta!

I ruszyliśmy w drogę.

Kiedy przybyliśmy do miasta, Fomicz cały się zjeżył. Przeszliśmy obok Pałacu Kultury. Ale na tablicy: „Ci którzy są hańbą naszego rejonu”, fotografii Fomicza już nie było. Fomicz uśmiechnął się...

Do Leningradu przyjechaliśmy rano i natychmiast zaciągnąłem Fomicza do Instytutu. Fomicz bez przerwy spozierał na boki i tulił do piersi woreczek z podkowami. Dwa razy wyciągałem go spod kół transportu miejskiego. Raz Fomicz wyciągnął mnie. Ale to był przypadek.

Szliśmy korytarzem obrastając z tyłu ogonem ciekawych. Przy wejściu do laboratorium przypominało to już kometa. Jądro komety stanowił Fomicz i ja.

Wepchnąłem Fomicza do laboratorium, wszedłem sam i oznajmiłem jak na przyjęciu dyplomatycznym:

— Pozwólcie, że przedstawię wam Wasilija Fomicza Smirnogo.

Szef właśnie udzielał konsultacji studentce. Siedział do nas plecami. Po wyrazie twarzy studentki zrozumiałem, co dzieje się z szefem. Oczy jej zrobiły się jak spodki i wyszeptala :

— To może lepiej przyjdę innym razem...

Szef powoli odwrócił głowę. Sasza Rybakow zdjął okulary i przetarł szkła. Odbyła się niema scena, jak w „Rewizorze”. A Fomicz powiedział:

- Pamięta mnie pan? To ja pisałem o Bhummie.
- Pamiętam — powiedział szef. — Pamiętam bardzo dobrze.

ROZDZIAŁ 8. PODEJMUJEMY FOMICZA (1)

Publiczność zasiadła półkolem jak na stadionie i szef z Fomiczem przystąpili do rozgrywki. Zaczął szef. Asystował mu Rybakow. Ja występowałem jako sąd rozjemczy. Nie bardzo wiem, co to takiego. Podobno tak się mówi.

Szef ujął podkowę przez chustkę do nosa i zamocował. Przylutowaliśmy kable i tak dalej. Podgrzał. Oczywiście żadnego rezultatu.

— No? — powiedział szef.

— To po waszemu — powiedział Fomicz. — Dajcie świecę. Fomicz stanął przy pulpicie i błyskawicznie osiągnął rezultat. Prąd popłynął. Był remis. Z wynikiem 1:1.

Nie wiadomo, skąd zjawił się Lisocki. Podeszedł do Fomicza i czule objął go za ramiona. Fomicz podskoczył ze strachu.

— A-ja-jaj — powiedział Lisocki. — Jak wam nie wstyd, koledzy? Nie wypada tak przyjmować gości. Gdzie nasza słynna leningradzka gościnność?

— Ja nie piję — cicho powiedział Fomicz.

— Piotrze, czy jest hotel dla naszego gościa? — zapytał mnie Lisocki.

— Przecież on jest z Kogutków, a nie z Paryża — powiedziałem. — Spróbuj załatwić mu pokój.

— Biorę to na siebie — powiedział Lisocki.

A tymczasem podkowa dalej dawała prąd. Któryś z laborantów po cichu podłączył do niej żarówkę. Żarówka oczywiście zaczęła świecić. Szef usiadł na krześle i otarł czoło tą samą chusteczką, przez którą trzymał podkowę. Sasza Rybakow zmierzył napięcie i oświadczył:

— Dwieście dwadzieścia wolt... A czy są podkowy na sto dwadzieścia?

— Dlaczego nie? Są. — odparł Fomicz.

— Nie trzeba — ledwie dosłyszalnie wyszeptał szef.

— Drogi gościu — powiedział Lisocki. — Zaraz załatwimy panu hotel, odpocznie pan, a jutro będziemy kontynuować prace badawcze.

— Co tu jeszcze badać? — zdziwił się Fomicz.

— Mogą się ujawnić uboczne efekty — wymijająco powiedział Lisocki. — Poza tym konieczne jest uzasadnienie teoretyczne.

— To już zrobił Brumm — powiedziałem. — Cała rzecz w czorcie. Albo w szatanie.

W tym momencie Lisocki wyprowadził Fomicza. Fomicz zdążył rzucić mi niespokojne spojrzenie, ale musiałem przecież pisać sprawozdanie z delegacji.

— Pietia, zlikwiduj ten iluzjon — powiedział szef umęczonym głosem.

— Nic na to nie poradzimy. Pali się — rozłożyłem ręce.

— Ha! — krzyknął ze swojego miejsca Rybakow.

Szef zerwał się na nogi i cisnął żarówkę do metalowego pudła. Tam szczęśliwie wybuchła. Szefa kopnął prąd od podkowy. To był niezły argument. Ale szef nie wziął go pod uwagę. Jak to mówią, szefa poniosło.

— Pietia — zaczął groźnie. — Żebym ja tego Fomicza więcej na oczy nie widział, i podków także. Zrób mi tę przyjemność. Na tydzień zwalniam cię z innych obowiązków. Zaprowadź go do Ermitażu. Do cyrku, do wesołego miasteczka, na basen. Gdzie tylko sobie życzysz!

— A efekt Brumma? — zapytałem.

— Wypluj to słowo! — wrzasnął szef. Jego spojrzenie padło na podkowę, zaryczał jak ranny lew i skoczył jak tygrys. Nigdy nie przypuszczałem, że szef jest takim siłaczem. W ciągu sekundy rozgiął podkowę i wrzucił ją do tego samego pudła. W ślad za podkową

poleciała świeca. Szef wyjął z fiolki tabletkę i wsunął pod język. Pomyślałem, że jeśli teraz szef umrze na atak serca, winien będę ja, a nie Brumm. Dlatego rakiem wycofałem się z laboratorium.

ROZDZIAŁ 9. PODEJMujemy FOMICZA (2)

Następnego dnia odbył się benefis Fomicza w laboratorium Lisockiego. Lisocki przebiegł na katedrę z samego rana, co nie zdarzyło się od lat. W rękę trzymał worek z podkowami. Zapewne wyżebrał je pomimo wszystko. Znowu na szczęście. Sądząc z ilości podków, szczęścia powinno teraz Lisockiemu wystarczać do roku dwutysięcznego.

— Piotrze Nikołajewiczu — zwrócił się do mnie Lisocki — ulokowałem Smirnego w hotelu „Leningrad”. Niech go pan przywiezie, bo niedługo przyjdzie korespondent.

— Jaki korespondent? — zapytałem.

— Z gazety — wyjaśnił Lisocki.

Wzruszyłem ramionami, ale po Fomicza pojechałem. Fomicz stęsknił się za mną. Omal mnie nie ucałował. W apartamencie hotelowym umeblowanym w stylu fińskim na wysoki połysk wyglądał jak leśny diabeł w celofanie. Fomicz siedział przed wielkim na całą ścianę lustrem i przyglądał brwi. Bez rezultatu. W czasie tego zajęcia rozmawiał sam ze sobą.

— Co. Wąska, zostałeś generałem — mówił Fomicz. — I po diabła przyniosło cię do miasta? Na cholerę ci te wszystkie badania? Aha, milczysz, durniu?

Zrobił pauzę, żeby jego odbicie rzeczywiście chwilę pomilczało. Następnie podniósł but stojący pod fotelem, potrząsnął nim i powiedział:

— Jesteś głupi jak but! Słyszysz? Jak but!

— Szkoda nerwów — powiedziałem.

— Wcale się nie denerwuję. Skąd ci to przyszło do głowy — zapytał Fomicz.

Odniosłem wrażenie, że Fomicz nie zdecydował się na spanie w łóżku — pościel była nie naruszona, widocznie drzemał w fotelu. Zeszliśmy na dół po schodach pokrytych dywanami, przy czym pokojówka spojrzała na Fomicza ze zdumieniem. Zapewne od dawna nie widziała normalnych ludzi.

Przyjechaliśmy na katedrę, gdzie oczekiwał już korespondent. Zdumiewająco uczony człowiek. Bez przerwy sypał naukowymi terminami. Lisocki chodził za nim po korytarzu i śpiewał hymny na cześć podków.

— A oto nasz samouk! — zawołał Lisocki. Korespondent wyjął notes i zajął Fomiczowi w zęby.

Fomicz skrzywił się, jakby połknął kilogram żurawin.

— Zaczniemy intrygująco — powiedział korespondent i roześmiał się ze szczęścia. Był zachwycony tematem. — Najpierw historia podkowy. Od czasów faraonów egipskich do naszych dni. Podkowa przeżyła już swój czas. Można powiedzieć, że obserwujemy jej agonię, i oto proszę! Powtórne narodziny. Taki właśnie damy tytuł!

Korespondenta niezwłocznie trzeba było zastopować, ponieważ Fomicz pobladł jak ściana. Pobiegnę do siebie i zadzwoniłem do laboratorium Lisockiego. Poprosiłem do telefonu korespondenta.

— Słucham — powiedział korespondent do słuchawki.

— Mówię z radia — powiedziałem. — Jest nam pilnie potrzebny materiał do dziennika. Informacje z pracowni uczonych. Dwie strony maszynopisu. Należy zwłaszcza podkreślić gospodarcze znaczenie odkrycia towarzysza Smirnego.

— Na kiedy? — zapytał korespondent.

— Za godzinę.

— Zrobione! — powiedział korespondent. — Podyktuję przez telefon. Numer waszego telefonu?

Podąłem mu numer mojej ciotki. Samotnej emerytki. Z przyjemnością posłucha. Potem zadzwoniłem do ciotki i poprosiłem, żeby przyjęła dla mnie telefonogram.

Kiedy wróciłem do laboratorium Lisockiego, eksperyment szedł pełną parą. Fomicz wyglądał dosyć marnie. Być może dlatego prąd z podkowy był dużo słabszy niż wczoraj. Żarówka świeciła słabiutko. Ale korespondent pisał już o znaczeniu gospodarczym.

Skończył szybciej niż Fomicz i niezwłocznie zadzwonił do mojej ciotki. Zaczął od Egiptu faraonów. Jego twarz promieniała natchnieniem. Potem popędził do redakcji.

— Trzeba zadzwonić do telewizji — powiedział Lisocki. — Proszę — powiedziałem. — A my na razie pójdziemy do Ermitażu. Fomicz jeszcze nigdy nie był w Ermitażu.

Ścisłe stosując się do poleceń szefa, pokazałem Fomiczowi kulibinowskie jajo. Niestety nie można było go z miejsca rozłożyć na czynniki pierwsze. Dlatego Fomicz pokręcił się chwilę przed ekspozycją i poszliśmy zwiedzać malarstwo. Picasso wywarł na Fomiczu wrażenie wstrząsające. Długo stał studiując jakąś kompozycję, a następnie zapytał:

— Gdzie tu sprzedają bilety kolejowe?

Odchodząc, ze strachem oglądał się na obraz, jakby dzieło mistrza mogło skoczyć za nim niczym pies. Ostatecznie dobił go Matisse. Fomicz wyszedł z muzeum na wół żywy. Do cyrku nie chciał iść za żadne skarby.

— Lepiej wypijmy coś, Pietia — zaproponował.

Zacząłem się o niego poważnie lękać. Poszliśmy z powrotem do hotelu. Tam był bar. Fomicz usiadł na wysokim stołku obok chłopca podobnego do dziewczyny. Albo na odwrót. Barman przysunął nam koktail ze słomką. Fomicz wychylił zawartość razem z lodem i zaczął melancholijnie przeżuwać słomkę.

— Trochę bez smaku — powiedział. — A poza tym niczego sobie. Zakąska jak zakąska.

Dookoła hałasowano w zagranicznym języku. Fomicz zmorzony zagapił się na koniec swojego buta. O czymś tam przez cały czas rozmyślał. Grupa turystów chciała się z nim sfotografować. A la Russe. Fomicz zsunął się ze stołka, z goryczą machnął dłonią i gdzieś poszedł. Dwie cudzoziemki, podobne do głodujących Marsjanek, pobiegły za nim. Schwyciły go pod rękę i wtedy Fomicz coś im powiedział. Najdziwniejsze, że cudzoziemki zrozumiały. Omal im oczy nie wypadły spod okularów. Wróciły do swojego towarzystwa i długo tam o czymś szeptały.

A Fomicz kręcił się po hallu, jak ślepy na dansingu. Wszyscy obchodzili go skrzyętym łukiem. Portier już zaczął zwracać uwagę na Fomicza i wtedy ja się wmixałem. Objąłem Fomicza za ramiona i łagodnie skierowałem do pokoju. Tam Fomicz nie wytrzymał i zaszlochał. Dałem mu tabletkę ataraxu, który noszę przy sobie od pewnego czasu. Dokładnie od początku historii z Brummem. Jeśli sądzicie, że łatwo mi to wszystko przychodzi, to jesteście w błędzie.

Ułożyłem Fomicza w łóżku, usnął wzdrygając się we śnie. Wyszedłem na palcach i poprosiłem pokojówkę, żeby od czasu do czasu zaglądała do pokoju.

ROZDZIAŁ 10. WYSTĘPUJEMY W TV

Rano zajrzałem do Lisockiego. Lisocki rozwijał burzliwą działalność. Twórcze pomysły tryskały z niego jak potoki górskie. Na ścianie laboratorium już wisiał schemat z podkową wykreślony tuszem. Laboranci szlifowali końce podków.

— Już się umówiłem — rzucił mi Lisocki. — Dziś mamy nagranie w telewizji. Jedź po Smirnego i nie odstępuj go ani na krok. Nagranie o czternastej.

Zrobiło mi się smutno. Ciekawe, kiedy pozwolą mi zająć się nauką? Ale z drugiej strony, Fomicz zginie beze mnie. Już do mnie przywykł. Ufa mi.

Starąłem się wybierać spokojne miejsca. Spacerowałem z nim do obiadu. Letni Ogród, park Taurydzki, muzeum Suworowa. Fomicz był melancholijny, nie do poznania.

Wreszcie przywiozłem go do instytutu. Po korytarzu już biegał Lisocki ubrany nadzwyczaj odświętnie. Reżyser spojrzął na buty Fomicza i chrząknął pogardliwie.

— Przebrać! — krzyknął przez ramię.

Fomicza porwano i gdzieś powleczono. Biedak zapierał się z całej siły i patrzył na mnie tak, że poczułem się zdrajcą. Dlatego poszedłem za nim.

Dwie dziewczyny o bardzo władczy wyglądzie zaprowadziły Fomicza do garderoby. Nie odzywały się do niego. To nie wchodziło w zakres ich obowiązków. Dyskutowały ze sobą.

— Frak się dla niego nie nada — powiedziała pierwsza. — Zbyt prostacka twarz.

— Może szynel? — zapytała druga z zadumą. Że niby oficer w stanie spoczynku.

— To i wojskowa bluza musi być — wtrącił Fomicz.

— I maska gazowa — odpowiedziałem z tyłu.

Dziewczyny odwróciły się i spojrzały na mnie jak na idiotę.

— Spodnie i sweter! — wymyśliła pierwsza. — Będzie fotogenicznie.

Zmusiły Fomicza, żeby włożył biały sweter i spodnie tenis. Jak Dean Reed. Zamiast butów lakierowane sztylpy. Fomicz trzymał się nadzwyczaj dzielnie. Włosy uczesał z przedziałkiem i teraz do złudzenia przypominał estradowego tancerza.

— Ej, dziewczuchy! — zawołał Fomicz starając się uszczypnąć obie dziewczyny jednocześnie, i mrugnął do mnie. Dziewczyny z trudem zachowały lodowatą wyniosłość. Zrozumiałem Fomicza.

— Mnie również trzeba przebrać — powiedziałem. — Reżyser kazał, żeby to było coś średniowiecznego.

Dziewczyny uwierzyły. W telewizji przyzwyczajone są do wszystkiego. Fomicz i ja z trudem powstrzymywaliśmy się od śmiechu. Ale nie mogliśmy sobie pozwolić na głośny śmiech. Obok trwały nagrania.

Wybrałem sobie taką czarną bluzę z żabotem. Wyglądałem jak Romeo. Dziewczyny były przerażająco poważne. Staraly się ze wszystkich sił.

Kiedy nas doprowadzono do reżysera, ten omal nie zapłakał. Moim zdaniem dziewczyny mają naganę z wpisaniem do akt jak w banku. Znowu nas przebrano, tym razem w coś neutralnego.

Weszliśmy do studia i zaczęła się próba. Lisocki prowadził audycję. O podkowach mówił tak, że kamerzysta nie mógł robić zdjęć. Padł twarzą na kamerę i bezdźwięcznie płakał ze śmiechu. Dziwne, ale Fomicz jak gdyby nabrał otuchy. Jego wygląd mówił: „Jak spadać — to z wysokiego konia”.

Zaraz po próbie zaczęliśmy nagrywać. Kiedy przyszła kolej na Fomicza, wstał, podszedł do przygotowanej aparatury i zapalił świecę. Wyraz twarzy miał bardzo poważny. Potem zaczął nagrzewać podkowę. Do podkowy był podłączony wentylator.

— Proszę zwrócić uwagę, zaraz prąd popłynie do silnika i wentylator zacznie się obracać — powiedział Lisocki. Do kamery.

Wentylator na te słowa nie zareagował.

— Za chwilę — powiedział Lisocki ciągle jeszcze z uśmiechem.

Fomicz starannie zgasił świecę dwoma palcami, nim wrócił na miejsce i powiedział zagadkowe zdanie:

— Nauka to nie prosty dinksbums.

— Stop! — krzyknął reżyser przez radio. Po minucie już był w studio.

— Dlaczego nie ma efektu? — zapytał.

— Nie mam nastroju — powiedział Fomicz.

— Jakiego nastroju? — zapytał Lisocki blednąc.

Wtedy Fomicz powiedział, co o tym wszystkim myśli. Pokazał charakter. Byłem szczęśliwy.

— Możecie iść do domu — powiedział reżyser. — Nauka to nie prosty dinksbums. Genialne!

Tylko jeden Lisocki się nie śmiał. Zebrał swoje kartki i po cichu wyślizgnął się ze studia. A my z Fomiczem przebraliśmy się i pojechaliśmy na dworzec po bilety.

ROZDZIAŁ 11. ODPROWADZAM FOMICZA

Siedzieliśmy z Fomiczem u mnie w domu i piliśmy herbatę. Fomicz wykladał swoje poglądy na życie oraz na fizykę. A ja wykladałem swoje. Bardzo ciekawie nam się rozmawiało.

— Rozumiesz — mówił Fomicz — co jest dla mnie i dla ciebie najważniejsze? Nie żeby świat zadziwić, i pieniędzy też nam nie trzeba. Najważniejsze, że jeśli całą duszą czegoś pragniesz — nagle wychodzi. Tylko dlatego. Usuń duszę — wszystko przepadnie.

— A obiektywny byt, który jest nam dany? — zapytałem. Zwracałem jego uwagę na materialność świata.

— Dany? — zapytał Fomicz. — Dany przez kogo? Co?

— No dany i koniec — powiedziałem.

— E-e! — pomachał palcem Fomicz — jednak przez kogoś dany.

— Wierzycie? — zapytałem wprost.

— Wierzę — powiedział Fomicz. — W naukę wierzę, i w ludzką duszę.

— To nie to samo — powiedziałem.

— Po waszemu nie to samo, a tak w ogóle — to samo. Ty na przykład niedawno opowiadałeś mi o Einsteinie. A ja myślę tak — uwierzył Einstein w to, co wymyślił — i słowo ciałem się stało. A gdyby tak dla pieniędzy, albo jeszcze dla czegoś, nie byłoby żadnej tam teorii względności.

— Kto inny by odkrył — powiedziałem.

— Jaki inny? No, może ja bym odkrył. Albo ty — Fomicz nie był skąpy. — A ten Lisocki na przykład w żadnym wypadku. Nawet gdyby miał łeb jak wieża strażacka.

Wypiliśmy herbatę i Fomicz zaczął się zbierać do drogi. Zbierać właściwie nie było co. Cała aparatura została u Lisockiego. Był tylko oscylograf, który podarowaliśmy Fomiczowi zgodnie z obietnicą.

Jechaliśmy przez nocne miasto. Fomicz popadł w zadumę. Postanowiłem go rozruszać.

— Lisocki nie przypuszczał, że spotka go takie fiasko — powiedziałem.

— Figasko — powiedział Fomicz. Nie zrozumiałem, czy żartuje, czy mówi poważnie.

Na peronie uściskaliśmy się, Fomicz był dobrym człowiekiem i użalił się nade mną.

— Jedź ze mną, Pietia — zaproponował. — Zginiesz tu, jak Boga kocham, zginiesz!

— A rodzina! — zapytałem.

— A nauka? — odpowiedział Fomicz. — Jeśli kocha — pojedzie za tobą.

Ostatnie zdanie odnosiło się do żony. Ale jednak nie pojechałem. Opanowałem się.

Pociąg zagwizdał, stęknął i powiózł Fomicza do wsi Kogutki Górne. Stałem na peronie i patrzyłem za nim — czerwone światełko ostatniego wagonu długo jeszcze kołysało się w przestrzeni.

ROZDZIAŁ 12. DOSTAJĘ LIST

— Gratuluje — powiedział szef następnego dnia. — Na pewno kamień spadł ci z serca.

Nie miałem takiego wrażenia. Ciągle widziałem przed sobą bezinteresowne oczy Fomicza.

— Dobra, Pietia — powiedział szef. — Pobawiliśmy się podkowami i starczy. Czas myśleć o doktoracie.

A ja zupełnie nie miałem ochoty o tym myśleć. Miałem ochotę myśleć o tym, jak po siatce krystalicznej biegają elektrony. Jak zderzają się ze sobą, mrugają do siebie i biegną dalej

wziąwszy się za ręce już jako prąd elektryczny. Miałem ochotę zrozumieć ich plany, zajrzeć im w duszę, jak by powiedział Fomicz. Zrozumiałem, że jeżeli nie zajrzę im w duszę, nigdy nie będę uczony.

Sprawa Brumma była prawie skończona. Tylko Lisocki pośpiesznie wstawił go do doktoratu, żeby się nie zmarnował. Zniszczył wszystkie podkowy, ale prąd nie popłynął ani razu. Próbował nawet wybadać mnie, czy Fomicz nie miał jakiejś tajemnicy.

— Miał — powiedziałem — bezinteresowne oddanie nauce.

Lisocki obraził się i więcej mi głowy nie zawracał. Niemniej wygłosił jednak kilka odczytów o Brummie w różnych instytucjach i nawet podpisał umowę z jakimś wydawnictwem.

A ja spokojnie obmyślałem swoje doświadczenia w dziedzinie anizotropii. Myślałem przez całą zimę. Patrzyłem, jak pada śnieg. Słuchałem, jak szumi wiatr. Bardzo mi to pomagało, i na wiosnę wymyśliłem. Już wiedziałem, co będzie, jeśli wszystko podłączę i uruchomię aparaturę. Inaczej po prostu być nie mogło. Oczywiście nie był to efekt Brumma, ale jednak.

W laboratorium jakoś inaczej zaczęto mnie traktować. Już nie byłem chłopcem na posyłki. Zdobyłem ich szacunek, czy jak?

Nawet Rybakow pewnego razu powiedział:

— Słuchaj, Pietia, zacznasz nam jakby kiełkować. Skąd mu to przyszło do głowy?

Wreszcie nadeszła wiosna i skonstruowałem schemat. Kiedy wszystko podłączyłem i umieściłem próbkę w uchwycie, strzałki przyrządów pomiarowych zatańczyły i zatrzymały się dokładnie tam, gdzie chciałem.

Dlatego, że chciałem tego tak bardzo.

Nawet nie zauważyłem, kiedy w laboratorium zrobiło się tak ludno, jak wtedy przy doświadczeniach Fomicza. I jeszcze nie wszyscy wierzyli w rezultat.

— Zdumiewające — powiedział szef.

— Mistyka — powiedział Lisocki. — Fomicz numer dwa.

— A propos — powiedział szef — Fomicz znowu do nas napisał.

— Ha-ha! — powiedział Lisocki i wyszedł. Chyba się zdenerwował.

— Nie do nas, tylko do mnie — powiedziałem, kiedy o—tworzyłem kopertę.

List brzmiał jak następuje:

„Witaj, Piotrze Nikołajewiczu! Spieszę podzielić się z tobą, wielką radością. Wreszcie uzyskałem plazmę. Całą zimę się mordowałem. No i jest, najmiłsza! Wczoraj rozpalilem w piecu brzoźowymi polanami, dołożyłem węgla i wybiegłem na ganek. Patrę, a nad kominem, w pułapce magnetycznej — błękitna kulka! Wisi łajdaczka, jak gwiazdka, albo planeta, i cichutko potrzaskuje. Mało nie zapłakałem z radości. Długo wisała. Ulepiłem śnieżkę — i w tę kulkę. Wtedy wybuchła. Pełne niebo iskier. Jak salut artyleryjski w dniu zwycięstwa. Napisz, jak twoje badania, i przyjeżdżaj latem na urlop. Zobaczymy, co da się zrobić z tą twoją anizotropią. Do szybkiego zobaczenia. Twój Wasilij Smirny”.

EPILOG. PISZĘ DOKTORAT

W końcu musiałem jednak napisać pracę doktorską. A w pracy tej należało wyjaśnić, w jaki sposób otrzymałem taki zdumiewający dla nauki rezultat. Długo się męczyłem, a potem opisałem wszystko od samego początku. Jak otrzymałem list od Wasilija Fomicza, jak pojechałem do Kogutków Górnych i co z tego wynikło. Pisałem uczciwie, To znaczy uczciwie w istocie rzeczy. Szczegóły troszkę podkoloryzowałem. Żeby było ciekawiej czytać.

Napisałem pierwszą część i nazwałem ją „Wprowadzeniem w historię problemu”. Pokazałem ją szefowi.

Szef czytał „Wprowadzenie” jak powieść kryminalną, nie odrywając się ani na moment. Od czasu do czasu chichotał i ocierał chusteczką łzy, Tą samą chusteczką, o której już

wspominałem. Jakoś nie pamiętam, żeby kiedykolwiek z takim zainteresowaniem czytał inne prace naukowe.

Wreszcie szef skończył, odłożył pracę i na jego twarzy pojawił się smutek.

— Pietia, czyś ty oszalał? — zapytał szef.

— Chyba nie — odparłem.

— Co to ma być? — zapytał szef wskazując na pracę.

— Doktorat — powiedziałem. — A co?

— Czyś ty kiedy widział doktorat? — zapytał szef.

— Widziałem — odparłem, — Wszystkie były dosyć nudne. A mój nie jest nudny.

— Ja myślę! — powiedział szef.

— Nigdy jeszcze nie pisałem doktoratu — powiedziałem. — Jeżeli coś jest nie tak, proszę mi powiedzieć. Ja się nie obrażę.

— Skąd ty to wszystko wzięłeś? Nie podejrzewałem, że masz fantazję pięcioletniego dziecka. Tyle, że dziecka z wyższym matematyczno-fizycznym wykształceniem. Gdzieś ty widział te podkowy? A plazma? Nic podobnego nie było!

— Jak to nie było? — zapytałem. — A Fomicz był?

— No był — powiedział szef. — Ale nie podgrzewał żadnej podkowy, i nie osiągnął żadnych nadzwyczajnych rezultatów.

— Moim zdaniem, nie to jest najważniejsze — powiedziałem. — Dla mnie najważniejsza była miłość Fomicza do nauki. To dzięki niej udało się moje doświadczenie. Czy nie mam racji?

— Nie wiem, nie wiem... — z zadumą powiedział szef.

Wtedy przeszedłem do ataku. Powiedziałem, że prace naukowe powinno się czytać z zainteresowaniem. A jeżeli w tym celu trzeba troszeczkę podkoloryzować bez szkody dla istoty sprawy, to nic. A w mojej pracy właśnie tak jest. Istota jest dla każdego.

No bo rzeczywiście, napiszę, powiedzmy, że mieszka w Kogutkach Górnych Wasilij Fomicz Smirny, człowiek bez żadnego wykształcenia, który kocha fizykę, i nie ma żadnych szczególnych osiągnięć. Chociaż zdaje mu się, że codziennie dokonuje przewrotu w światowej nauce.

Zasługuje wyłącznie na litość, i tak ma wyglądać prawda?

Zależy, z której strony na nią spojrzeć.

A ja spojrzałem tak, że Fomiczowi można też pozazdrościć. Zajmuje się swoją ukochaną nauką. Wierzy w nią. Tylko nią żyje. Czasem, trzeba mu oddać sprawiedliwość, wymyśla coś pożytecznego.

Słowo honoru, nie każdy doktor nauk ścisłych tak po rycersku traktuje naukę. Nie każdy. Wiem o tym. A co tam Fomicz podgrzewał, czy otrzymywał w swoim piecu — czy to nie wszystko jedno?

— Bardzo pięknie — powiedział szef. — Ale to nie doktorat. Uczeni będą się śmiali.

— Na zdrowie! — powiedziałem. — Niech się śmieją. Czy to źle?

— Dla doktoratu źle. Nazwij to, co napisałeś, jakoś inaczej.

I nazwałem to inaczej. A doktoratu jakoś nie napisałem. Dlatego że, jak się okazało, nie mam uzdolnień w kierunku pisania doktoratów.

Przekład: Irena Lewandowska